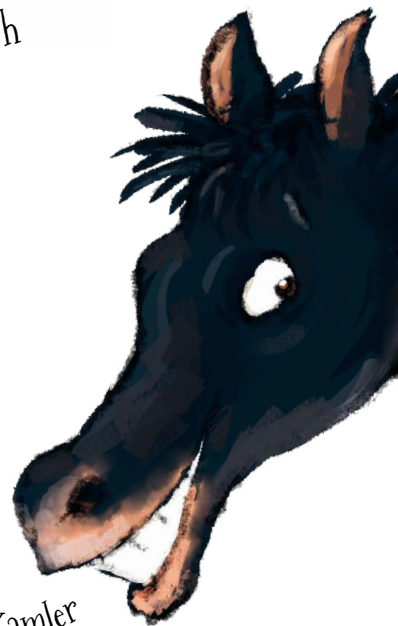


Renata Piątkowska

Złóóó

opowiadania o koniach i konikach

ilustracje: Mikołaj Kamler



Renata Piątkowska
Zbój. Opowiadania o koniach i konikach

© by Renata Piątkowska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Mikołaj Kamler

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie IV

ISBN 978-83-7672-631-1

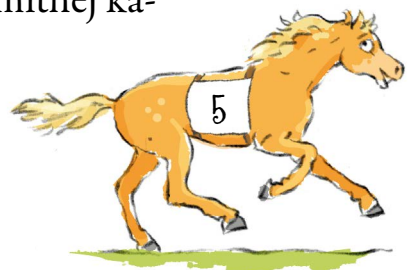
Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wydawnictwoliteratura.pl

DUKAT



U dziadka w pachnącej sianem stajni stał Dukat. Wielki, czarny jak węgiel i silny jak smok. Koń o grubej szyi i ciężkiej głowie, z falującą grzywą i ogonem sięgającym ziemi. Podobno najładniejszy w całej wsi, ale ja podejrzewam, że najpiękniejszy na całym świecie. Dukat albo pomagał dziadkowi w polu, albo paść się na łące za domem. A wieczorem szedł sobie spacerkiem do rzeki. Nigdy nie widziałem, żeby się kąpał, ale lubił postać chwilę w wodzie, a potem pił i parskał, a czasami nawet sikał. Drogę nad rzekę Dukat znał chyba na pamięć, bo chodził tam zupełnie sam i nigdy się nie zgubił.

Tak długo prosiłem i nalegałem, aż dziadek pozwolił mi w końcu dosiąść Dukata. Musiałem mocno trzymać się grzywy i dociskać kolana do boków konia. Czułem się tak, jakbym siedział na wielkiej, aksamitnej kanapie. Kanapie, która lekko się kołysze, a niekiedy przyspiesza i pod-



skakuje. Trochę się bałem i bolała mnie pupa, ale za nic na świecie bym się do tego nie przyznał. Dziadek uważał, że bardzo dobrze sobie radzę i po pewnym czasie pozwolił mi jeździć na Dukacie nad rzekę i z powrotem. Byłem dumny jak paw. Przez całą drogę rozmawiałem z Dukacikiem, mówiłem mu, że go bardzo lubię i prosiłem, żeby nie wiergał. On w odpowiedzi kiwał głową i od czasu do czasu parskał. Oczywiście cały czas rozglądałem się, czy gdzieś w pobliżu nie ma chłopaków z sąsiedztwa. Ach, jakie oni mieli miny, gdy widzieli mnie na grzbiecie wielkiego jak góra konia! Wytrzeszczali oczy, a niektórzy nawet otwierali buzie. Zazdrościli mi, wszyscy, co do jednego. W końcu największy z nich, Witek Gil, nie wytrzymał i zawołał:

– Ten twój koń ma zakuty łeb! Potrafi dojść tylko do rzeki i z powrotem! Ani kroku dalej! Co za głąb!

– Sam jesteś głąb! – odparłem.



Chłopcy śmiali się głupkowato i biegli za nami, a ja głaskałem Dukacika po szyi i mówiłem, żeby sobie z tego nic nie robił. Potem, już nad rzeką, Witek zaproponował:

– Załóżmy się, który z nas pierwszy objedzie dokoła placyk przed kościołem, ty na koniu czy ja na skuterze. Kto przegra, płaci dychę.

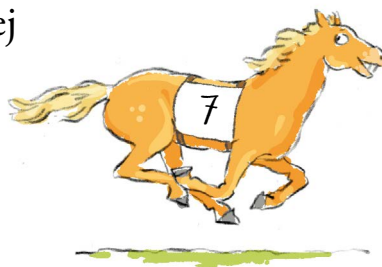
– Zgoda – powiedziałem, no bo niby co innego mogłem zrobić.

W myślach pożegnałem się z moim kieszonkowym, wiedziałem przecież, że nic nie zmusi Dukata, by zamiast nad rzekę, ruszył do wsi i biegał po jakimś rynku. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że Witek też się tam nie pojawi, bo cały ten zakichany skuter wcale nie należał do niego, tylko do jego brata. Brat zabronił Witkowi kręcić się koło skutera, ale gdy tylko wychodził do pracy, ten wskakiwał na siodełko, łapał za kierownicę i mrużąc pod nosem: „Brym, brym, brym”, udawał, że jedzie. Może, jak nikt nie widział, trenował na podwórku, kto go tam wie. Ja też próbowałem przekonać Dukata, żeby choć raz zmienił trasę. Prosiłem, tłumaczyłem, dawałem kostki cukru, suchy chleb i marchewkę – wszystko na nic. Dziadek pouczał:

– Jeśli chcesz, żeby koń skręcił w prawo, to musisz docisnąć mu łydkę do prawego boku i lekko pociągnąć wodze. Jeśli ma iść w lewo, to przyłóż łydkę z lewej strony – to proste.

No więc naciskałem raz prawą nogą, raz lewą, w końcu obiema naraz, a Dukat i tak szedł prosto nad rzekę. Miałem nawet wrażenie, że śmiał się cicho pod nosem.

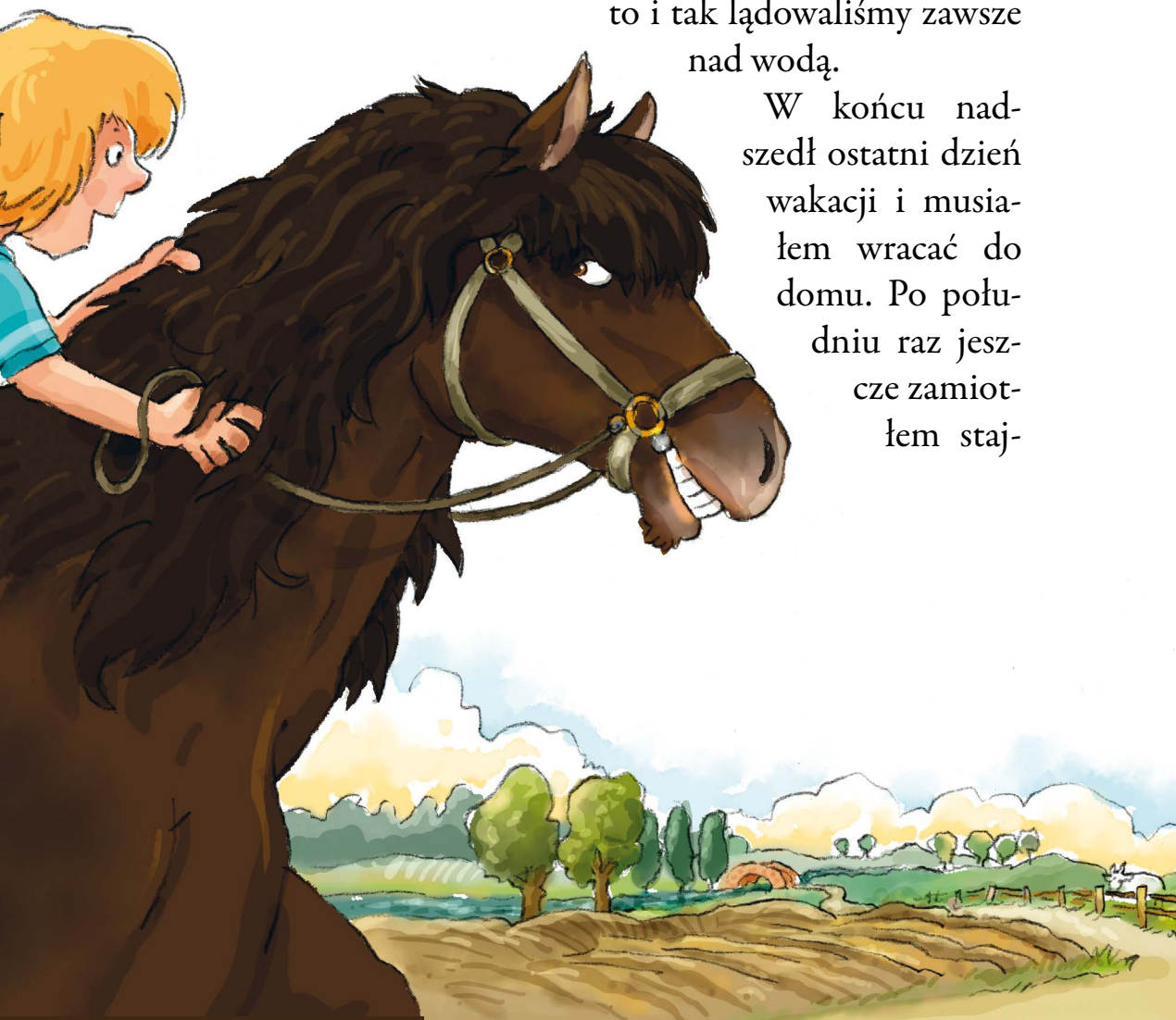
– Nic się nie martw, wnusiu – pocieszał mnie dziadek – jeszcze się nauczysz. Będziesz większy i silniejszy, to dasz sobie z nim radę. Potem już każde lato spędzisz w siodle, zobaczysz, że tak będzie. – Dziadek przytulił na chwilę czoło do wielkiej końskiej głowy i powtórzył swoje ulubione



powiedzonko: – Bo widzisz, Marcinku, bez konia można żyć, tylko po co?

Nie wiem, jak tam szło Witkowi ze skuterem, ale ja bez powodzenia zaklinałem Dukata każdego dnia, by pojechał ze mną do wsi. Niby słuchał, strzygł uszami i kiwał głową, ale ani o krok nie zбочył ze swojej ścieżki. I choć machałem wszystkimi nogami i rękami, a nawet, chociaż dziadek tego nie pochwalał, uderzałem go trochę piętami po bokach, to i tak łądowaliśmy zawsze nad wodą.

W końcu nadszedł ostatni dzień wakacji i musiałem wracać do domu. Po południu raz jeszcze zamiotłem staj-



nię, nałożyłem siana do żłobu i pomogłem dziadkowi wyczyścić Dukata. Żeby było sprawiedliwie, on zajął się końskim grzbietem i szyją, a ja szczotkowałem brzuch, aż zrobił się czyściutki i jedwabisty.

– Tak właśnie ma być – pochwalił mnie dziadek. – Pamiętaj, Marcinku, że to wstyd jechać na brudnym koniu – dodał i wyprowadził Dukata przed stajnię.

Potem, gdy siedziałem na końskim grzbiecie, poklepał Dukata i powiedział:

– No, to idźcie i nie marudźcie długo nad wodą, bo za chwilę przyjadą po ciebie rodzice.

Ruszyliśmy wolno dobrze znaną ścieżką. Tym razem nawet nie wspomniałem o Witku i naszym zakładzie. Nie żeby mi już nie zależało na wygranej, ale to był nasz ostatni spacer i nie chciałem się z Dukatem kłócić. W milczeniu dojechaliśmy do krzyżówki. W tym miejscu koń powinien skrócić w prawo, w stronę rzeki. Jednak ku mojemu zdziwieniu nie skręcił. Szedł dalej, prosto przed siebie, w kierunku



wsi. Po chwili, choć wcale nie dociskałem go łydkami, przyspieszył. Wydeptana ścieżka zamieniła się w wyboistą drogę. Kopyta stukwały o kamienie, a na poboczach pojawiły się sady, domy i sklepiki. W końcu wyrósł przed nami kościół. Na wieży widać było krzyż i zegar. Dochodziła szósta, gdy Dukat wkroczył na plac przed kościołem. Zatrzymał się na chwilę, a potem ruszył z kopyta. Przywarłem do niego całym ciałem. Tak jak uczył mnie dziadek, docisnąłem kolana i chwyciłem się grzywy. Byliśmy w połowie okrążenia, kiedy nadleciał Witek z chłopakami. Jak zwykle włóczyli się po wsi, więc nie mogli nie zauważyć, że wielki jak góra i czarny jak węgiel koń pędzi przez plac na łeb na szyję. Od samego łoskotu kopyt o bruk drżały szyby w oknach. Kiedy przelatywałem koło nich, chłopcy stali z otwartymi ustami, a ja byłem najszczęśliwszy na świecie. Gdy zatoczyliśmy koło, Dukat zwolnił i jakby nigdy nic ruszył w drogę powrotną. Znowu mijaliśmy sklepiki, domy i sady, a kopyta stukwały o kamienie. Tym razem na krzyżówce skręcił w dobrze znaną ścieżkę prowadzącą nad rzekę. I podczas gdy ja siedziałem ciągle jeszcze spięty i wczepiony w jego grzywę, Dukat brodził w wodzie, pił i na dodatek sikał. Kiedy wróciliśmy do domu, Witek już na mnie czekał.

– Ale dałeś czadu. – Pokiwał z uznaniem głową. – Nie wierzyłem, że ci się uda. Zasuwał jak rakieta – pochwalił Dukata i wcisnął mi do ręki zmięte dziesięć złotych. – Za rok się odegram! – zawołał jeszcze i tyle go widziałem.

Nie wiem, i pewnie nigdy się nie dowiem, dlaczego Dukat zamiast jak zwykle pójść nad rzekę, zawiózł mnie do wsi. I skąd wiedział, że abym wygrał zakład, musimy okrążyć plac przed kościołem. Wiem tylko, że zrobił to dla mnie i że kocham go prawie tak samo jak dziadka. Na pożegnanie wycalowałem ich obu, a Dukacika jeszcze dodatkowo poklepałem po głowie i szepnąłem mu do ucha, że nie zamieniłbym go nawet na sto najnowszych skuterów. Choćby były czerwone, miały klaksony i błyszczące lusterka.

– Pewnie, przecież największe szczęście na świecie na końskim siedzi grzbiecie – usłyszałem i do dziś nie wiem, czy powiedział to dziadek, czy Dukat.

